

Katarzyna Niedurny

Czy da się przeżyć?

Wizja świata przyszłości zapisana przez Ursulę Le Guin daje trudną nadzieję. Po latach katastrof – globalnego ocieplenia, rozprzestrzeniających się wirusów, kryzysów migracyjnych i wojen ludzkości – udaje się przetrwać. Spokój przynosi nie rozwinięta technologia, ale powrót do kontaktu z naturą i struktur plemiennych. Po tegorocznej zimie bez zimy, pożarach lasów, topnieniu lodowców czy medialnej panice spowodowanej koronawirusem – zapewnienie o tym, że ludzkość sobie poradzi, i to poradzi całkiem dobrze, wydaje się kojąca.

Spektakl Magdy Szpecht „Wracać wciąż do domu”, stworzony w ramach obchodów 100-lecia polsko-japońskich stosunków dyplomatycznych, miał premierę w Warszawie i w Tokio. Rozpoczyna się od podróży w przyszłość. Aktorzy w ramach układu choreograficznego z kronikarską dokładnością i obojętnością wymieniają kolejne katastrofy. Zatrzymują się dopiero w czasach, w których rozkład udało się już powstrzymać, a przyroda na nowo rozpoczęła swoją ekspansję.

Główną bohaterką tej opowieści jest Mówiący Kamień – kobieta mieszkająca wśród ludów Kesh i Kondora. Aktorzy kolejno biorąc na siebie tę rolę, snują opowieść o jej życiu. Skupiają się przy tym na sielsko-anielskich latach dzieciństwa kobiety, czyniąc z nich pretekst do przedstawienia zwyczajów żyjącego w ścisłym związku z naturą plemienia.

Konstrukcja spektaklu – wymiennosc ról i budowanie poszczególnych scen w oparciu o kolektywną pracę aktorów na scenie – wydaje się bezpośrednio związana ze zwyczajami plemienia. Zbiorowość jest tam bowiem znacznie ważniejsza niż jednostka i jej indywidualne ambicje, miarą bogactwa jest to, ile oddało się innym, zaś wszelkie hierarchie straciły rację bytu. Lata katastrof pokazały, że nikt nie jest wyjątkowy, oraz nauczyły ludzi, że społeczeństwo jest nie polem rywalizacji, ale gwarantem przetrwania, wsparciem i przestrzenią współpracy. Aktorzy wymieniają się rolami, tak jak mieszkańcy plemienia zmieniają swoje imiona wraz z przyjmowaniem kolejnych tożsamości związanych z różnymi etapami życia. W świecie Kesh nie ma różnicy między ludźmi a innymi bytami – witać należy się z sąsiadem człowiekiem, sąsiadem zwierzęciem, sąsiadem skałą. Wszystko w tym kręgu ma swoje miejsce, i to miejsce tak samo ważne, zaś duchowość rozwija się w kontakcie z naturą.

Projekcje przedstawiają głównie piękne widoczki i miłe zwierzęta. Na środku sceny tkwi konstrukcja, której stabilne rusztowanie jest podstawą dla tkaniny, którą aktorzy mogą cały czas tkąć, zmieniając nieznacznie jej wygląd i dokładając kolejne powiązania. Tworzona przez kolektywną pracę płachta może pełnić również funkcję instrumentu, wygodnego siedziska i schronienia. Ten element scenografii przypomina zaprezentowaną w czasie tegorocznego Prague Quadrennale pracę holenderskich studentów „Waltz2019”, w której każdy oglądający zostaje zaproszony do tkackiej pracy.

W opowieściach o utopiach tkwi jednak pewne zagrożenie – z biegiem czasu stają się nudne. Przed tym niebezpieczeństwem nie uchronił się i spektakl Szpecht. Chociaż ogląda się go przyjemnie, czasem zaciekawia, czasem bawi, to jednocześnie niezwykle się dłuży. Wynika to w dużej mierze z tego, że w tej urokliwej oprawie znika cały polityczny potencjał alternatywnego świata, który wydaje się zarówno odległy, jak i nierzeczywisty, ponieważ przedstawiony jest w uproszczonej, cukierkowej wersji. Mimo że temat alternatywnych propozycji społeczno-politycznych po katastrofie ekologicznej powinien nas żywo obchodzić, tu okazuje się abstrakcyjny. Sama opowieść o zwyczajach nie wystarcza, nawet jeśli w teorii wydają się one atrakcyjne.

Warszawski spektakl daje duże poczucie bezpieczeństwa – wydarzenia nieśpiesznie rozwijają się na scenie, spokojna i piękna muzyka jest wykonywana na żywo przez Krzysztofa Kaliskiego, opowieści o obyczajach ciągną się powoli i chociaż akcja z czasem przyspiesza – wraz z pojawieniem się ojca Mówiącego Kamienia, przedstawiciela znacznie bardziej wojowniczego ludu Kondora – nie wprowadza to napięcia. Cała ta historia brzmi trochę jak przyjemna bajka na dobranoc, która rozgrywa się gdzieś w nieokreślonym czasie i przestrzeni, a wpisany w nią łagodny dreszczyk czy chwila śmiechu nie zaburzają zbliżającego się wraz z kolejnymi słowami snu.

Problematyczne jest również podążanie przez spektakl tropem losów Mówiącego Kamienia. Nazywam to na własny użytek przyspieszoną dramaturgią. To sytuacja, w której autor tekstu do pewnego czasu rozkoszuje się swoją pracą, którą wykonuje z dużą miłością do szczegółu, nagle jednak przypomina sobie, że spektakl ma trwać krócej niż dwie godziny i trzeba znacząco przyspieszyć. Tak się dzieje i w tym przypadku – pierwsze lata życia bohaterki śledzimy z dużą dokładnością, reszta mija jak z bicza trzask. Mówiący Kamień wyjeżdża ze swoim ojcem. Staje się częścią plemienia Kondora, co wcześniej zapowiadane jest jako ważny motyw opowieści. Tymczasem niewiele wiemy o tym, jak ono działa, poza tym, że toczy wojny. Mówiący Kamień trafia do miejsca, w którym zgodnie ze zwyczajem kobiety siedzą w domu i nie mogą z niego wychodzić. Dlaczego? Po prostu tak jest. Ma męża, ma dziecko, zostawia męża, wraca do Kesh, na scenie mija 10 minut. Jeszcze odprawimy jakiś rytuał. Koniec spektaklu. Oczywiście w teatrze nie chodzi o to, żeby dokładnie odtwarzać książkę, ważniejsze jest trzymanie się pewnej wyznaczonej na początku konwencji. Świat spektaklu w niczym tego gwałtownego przyspieszenia nie wyjaśnia.

Czy ludzkość przeżyje? Tak. Czy spektakl da się przeżyć? A i owszem, momentami nawet bardzo przyjemnie, w końcu Magda Szpecht jest zdolną reżyserką, a aktorzy stają na wysokości zadania. Oglądając go, skaczemy jednak od sceny do sceny. Wiele z nich jest zabawnych, pięknych i interesujących. Zbieranie fragmentów perełek z całej opowieści to jednak za mało.